

Freud wpadł w pułapkę

zastawioną przez sprytną dziennikarkę

Znana na bruku paryskim feljetonistka, Odette Pannetier, postanowiła dotrzeć do Freuda. Okazuje się, że nie jest to łatwe zadanie. Freud wiedzie egzystencję niedostępnego samotnika, porad już nie udziela, chorych nie przyjmuje, a dziennikarzy nie wypuszcza na próg domu.

Odette nie dała za wygraną. Przecież to nieelastyczna gratka uzyskać wywiad ze słynnym profesorem, który posiada we wszystkich krajach klany wiernych wyznawców.

Najprzód dotarła do córki Freuda, ale i ona nie mogła pomóc nieszczęśliwej „madame Dubois” (taki pseudonim przybrała Pannetier), cierpiącej na dziwną manję, objawiającą się wstętem do psów... Skierowała ją do „wice-Freuda”, doktora Ferdena.

— Czy ta pani Dubois ma pieniądze? — zapytał dr. Ferden.

— Ma forsy jak lodu — padła uspakajająca odpowiedź.

UDAJE WARJATKĘ

Brodaty pan „o profilu rabiną” przyjął panią Dubois i wysłuchał jej ponurej powieści. Pani Dubois zapewniła go, że widok psa wywołuje w niej ataki furji.

— Wszystkie psy czują do mnie nieprzewidywalny wstręt. Rzucają się na mnie, gryzą mi tydki... Doktor Ferden wierzył, że ma do czynienia z niebezpieczną manjakiem, ale gdy mu oświadczyła, że nie ruszy się z Wiednia, dopóki nie zasięgnie porady u samego Freuda, rozłożył bezzadnie ręce i powiedział:

— Uprzedzam panią, że profesor Freud za jedną wizytę bierze 900 franków...

Pani Dubois parsknęła śmiechem. Że to niby szalenie tanio. Wtedy dopiero wice-Freund zdecydował się porozumieć z wielkim, niedostępnym Freudem.

Nazajutrz odwiedziła „warjatkę” prywatnym samochodem, do podmiejskiej willi Freuda. Biedna Odette musiała być niesłychanie czujna i ostrożna, żeby się nie zdradzić, toteż na widok każdego psa odgrywała po mistrzowsku komedję spazmów, wiała się i jęczała jak potępieniec, czepiała się rąk doktora, który z widoczną satysfakcją notował w czarnej książeczce słowa i odruchy pacjentki.

Freud mieszka w miłym domu, z brunatnymi okennicami, w ogrodzie pełnym kwiatów, starych drzew i kaktusów.

— Profesor ma dwa psy, ale dzisiaj zamknęto je w kuchni —

mówi doktor Ferden.

— Udaję przerażenie — opowiada Pannetier — zresztą potem naprawdę wystraszona. Cóż z tego, że nabiłam w butelkę dwóch doktorów, Freud to co innego, on się nie da wziąć na kawał, przejrzy mnie nawskroś i wygna z domu...

Schody, weranda z trzcinowymi kanapami, na których piętrzą się horrendalnie niegustowne poduszki.

U FREUDA

Freud ma 80 lat, ale wygląda na sześćdziesiąt, ma bielutkie, starannie utrzymane włosy, krótką brodę i okulary na głęboko osadzonych oczach. Te oczy są tak głęboko ukryte pod nawisłymi brwiami, że trudno odgadnąć ich barwę.

Na mój widok wstaje z krzesła, służy, zgrabny, elegancki. Świetnie skrojony szary garnitur, godny Żigolaka, wcale nie wygląda śmiesznie, na młodzieńczej sylwetce staruszka. Ręce Freuda również są zadziwiająco młode — trochę ciężkie, trochę zanadto czerwone, ale gładkie i zupełnie pozbawione zmarszczek. Pod brodą coś mu się rusza na szyi z lewej strony, jakgdyby kula. Freud przeszedł ciężką operację krtani. Obawiano się o jego życie, ale cudem uszedł śmierci tyle, że ma dzisiaj pewną trudność wymowy. Belkocze jak głuchoniemy.

Podaje mi rękę sztywno, po niemiecku i przesywa mnie bystrym, ostrym spojrzeniem pod wpływem którego robi mi się trochę niewyraźnie.

Siada naprzeciwko mnie przy biurku, którego zielone sukno wykarminiło kilka pokoleń moli, i oparłszy na niem łokcie zagłębia się w medytację. W pokoju słychać tylko bicie mojego serca. Nagle Freud gwałtownym ruchem wyciąga rękę i mierzy we mnie wskazującym palcem. Wszystko przepadło. Zaraz mnie zdemaskuje i przykłada skarci.

Otóż nie. Proszę sobie wyobrazić, że Freud, wielki, słynny Freud nie domyślił się prawdy. Ukazuje wuściechu dwa rzędy złotych zębów, niby ludożerca, który wyszedł tylko co z gabinetu dentystry.

— Pani Dubois — my się przecież nie dogadamy, bo pani nie mówi po niemiecku, a ja zapomniałem mówić po francusku. Co? pani odpowiada po angielsku? (zwraca się do Ferdena). Jeżeli ona nie będzie głośnieć mówić, to

wogóle nie warto zaczynać kuracji. Jestem trochę głuchy.

Odette Pannetier odpowiedziała wrzeszcząc jak przekupka, że się „postara”.

— A co! Nie mówiłem — ucieślił się Freud — ci chorzy niby to nie są w stanie wykrztusić jednego słowa, a tymczasem... I dlaczego pani tak zależy na mnie? Kuracja według mojej metody trwa bardzo długo. Jestem stary, mogę umrzeć, co pani pocznie wtedy? Może się pani zabije? he? Nie miała pani nigdy ochoty zabić się? No, naturalnie, że tak... Doktor Ferden wtrąca się do rozmowy.

— Nein, nein, Herr Professor — ta pani mnie zapewniła, że nigdy nie miewała myśli samobójczych.

Teraz skolei wywiązuje się ożywiona rozmowa między obydwoma dżentelmenami, gęsto przeplatana terminami łacińskimi. Jest mowa o psach, o atakach pani Dubois, i o honorariach.

Staruszek po dłuższej medytacji znowu podnosi ramię, niby zaklinacz węzów.

A CO! NIE MÓWIŁEM?

— Muszę pani coś wyznać — po wiada chrypliwym głosem, łamanną francuszczyzną — ja mam w domu dwa psy. Ubóstwiam psy. No i co? pani na to? Czy to pani mi odstraszy?

— Nie wiem... nie mam pojęcia... może... ich nie zobaczę — wyjąkała symulantka.

— One są bardzo miłutkie. Nie chce pani na nie popatrzeć? Ja je tak lubię...

— Bo one pana nie krzywdzą... Ja zresztą także lubiałam psy... Dawniej... Zanim...

— Pani powiedziała „dawniej lubiałam...” — Dawniej? a więc zanim coś się zdarzyło. Przedtem pani psy nie gryzły?...

— Nie wiem... Chyba tak...

— Może przed zamążpójściem? — nalega zaciekawiony Fred.

— Tak... Być może... Już sama nie wiem...

Dwaj augurowie zamieniają znaczące spojżenia. W oczach ich dostrzegam błyski triumfu.

— A co ja panu mówiłem? — woła Fred podniecony radością.

— Racja, panie profesorze.

— Przecież to klasyczny objaw. Zupełnie symptomatyczne. A więc podejmę się kuracji. Musi pani jednak przyjść do mnie z mężem. Nie może pani mieszkać sama jedna, bez opieki. Potrzebna będzie dama do towarzystwa. To niesły-

chanie ciekawy wypadek — powiada do Ferdena. — Jestem pewny, że pani się boi nawet fotografii psów. A teraz o honorariach...

TROSZKĘ DROGO

— Mówiłem jej, że jedna wizyta kosztuje 900 franków.

— Tak, tak ale przecież leczenie potrwa czas dłuższy.

Doktor Ferden zwraca się do pani Dubois.

— Profesor polecił mi oświadczyć pani, że kuracja kosztować będzie trzysta franków dziennie.

Profesor radzi, żeby pani zamieszkała w Sanatorium, razem ze swoją opiekunką. To najładniejsze sanatorium w Wiedniu. Ale troszkę drogie. Jakies trzysta franków dziennie, o ile pani zgodzi się zamieszkać w jednym pokoju, z „dame de compagnie”.

— Odette Pannetier dodaje od siebie.

A więc jeżeli się zdecydują płacić tysiąc franków dziennie przez rok lub dwa, to przestaną się obawiać psów.

Po głębszym zastanowieniu postanowiłam odrzucić ofertę profesora Freuda.

W obozach B. A. M.

Sowiecka katorga na Syberji

Wychodzące w Charbinie czasopismo rosyjskie „Nasz Put” ogłosiło niedawno (w nr. 142) wstrząsającą opowieść zbiegłego z sowieckiego obozu robotów przymusowych na Syberji chłopca z południowej Rosji M. W. Zacharina. Po przymusowej kolektywizacji wsi, w której mieszkał, gdy matka jego przy nowej gospodarce z głodu umarła, usiłował Zacharin zbiec z „raju” sowieckiego, wpadł w ręce agentów GPU i skazany został na 10 lat robotów przymusowych w oślawionych obozach BAM (Bajkał - Amurskaja Magistral), których zadaniem jest utrzymywanie w porządku kolei i dróg syberyjskich. Po dwóch latach pobytu w tych obozach udało mu się wreszcie uciec do Mandżukii.

Obozy BAM, opowiada Zacharin, to olbrzymie oboze koncentracyjne na Dalekim Wschodzie podzielony na wiele grup a te skolei na oddziały po 300 ludzi, rozporządzający razem ok. 200 tysiącami osób. Praca w obozie, po

Amerykanie o widmie wojny

Sensacyjne oświadczenie arcybiskupa Liverpoolu

Londyński „The Universe” z 24 b. m. zamieszcza niezwykle oświadczenie arcybiskupa Liverpoolu Downey’a, który powrócił z podróży do Stanów Zjednoczonych, gdzie zwiedził szereg miast i wygłosił przemówienia. Arcybiskup Downey wypowiada swe spostrzeżenia na temat życia społecznego i krążących obecnie opinii w Stanach Zjednoczonych, podkreślając, że pomimo usiłowań prezydenta Roosevelta społeczeństwo amerykańskie przechodzi b. ciężki okres. Zwłaszcza 12 milionów bezrobotnych na ogólną liczbę ludności 127 milionów daje się we znaki. Wprawdzie opieka nad bezrobotnymi zorganizowana jest

tam znakomicie, ale system dobroczynności nie może zastąpić systemu zorganizowanej i dostępnej dla wszystkich pracy.

W sprawie sytuacji międzynarodowej, jeżeli chodzi o powszechną opinię krążącą wśród Amerykanów, arcybiskup Downey oświadczył: „Obywatele Stanów Zjednoczonych są głęboko przekonani, że wybuchnie nowa wojna europejska, w którą i W. Brytania zostanie wciągnięta, przyczem akcja Hitlera stanowi główną przyczynę zbliżającego się niebezpieczeństwa. Co do Ligi Narodów, to Amerykanie sądzą, że instytucja ta właściwie się już skończyła”.

Drzewo

Które się żywi małpami

Przed kilku laty jeden z brazylijskich uczonych dokonał niezwykłego odkrycia. Znalazł on mianowicie w brazylijskiej Gwajanie pewien gatunek drzewa, które żywiło się małpami. Drzewo to jest wysokości 4-piętrowej kamienicy i tworzy olbrzymi spłot tysięcy gałęzi, które natychmiast szczerlnie oplatają ciało każdej

małpy. Przez trzy dni trwa ten skurcz, kończy się tem, że po trzech dniach gałęzie rozwijają się, a na ziemi spadają już tylko kości.

Uczony ten na dowód prawdziwości swych słów przedłożył naukowemu zakładowi badawczemu w Rio de Janeiro fotografię tego dziwnego drzewa.

ERYK KAESTNER

13)

„ZAGINIONA MINIATURA”

Tłumaczyła Magdalena Samozwaniec.

— Tego mi tylko brakowało — myślał strapiiony. — Skończy się na tem, że sam pojedę do Berlina. Oto rezultat nadmiernej uczynności. Poco ja w łaciwie wracam już do domu? Przecież Emilka i dzieci wiedzą już, że nie siedzę w Bernau u Selbstmana, ale w Danji. Ciekaw jestem, kiedy otrzymali moją kartkę z tym pięknym widokiem portu?

W tym momencie uprzytomił sobie nagle, że pocztówki owej wcale nie wrzucił do skrzynki, tylko zostawił na stoliku na tarasie Hotelu Angielskiego. — Wszystko robię naodwrot — pomyślał z żalem. — To pewno spowoduje zaziębienie. No trudno, wiecznie człowiek nie może żyć.

Ów proces myślowy przerwało nagle ukazanie się w głównym wejściu panny Smutny. Nie szła ona sama. Po obu jej stronach kroczyli dwóch silnych, dużych mężczyzn w sztywnych, czarnych kapeluszach, w których można było na pierwszy rzut oka poznać agentów policyjnych, ubranych po cywilnemu.

Oskar Kulc zrobił nadludzki wysiłek, ażeby nie pokazać po sobie, że ją zna. Przytulił mu to tak to rudno, że przez sekundę miał ochotę nie dotrzymać przyrzeczenia i przywitać się z nią. W każdym razie należało mieć ją ciągle na oku, bo jakżeż inaczej mogli tak urządzić, ażeby razem znaleźć się w przejściu?

Podniósł z ziemi swoją walizkę, chwycił laskę mocno w garść i w pozie gotowej do marszu począł możliwie dyskretnie zerkać poprzez ramię na pannę Smutny.

Zegnała się właśnie ze swojemi towarzyszami życzliwym skiniem głowy. Kulc wpakował się między obie barjery i ażeby zy-

skać na czasie postawił swoją walizkę na ziemi. — Momencik — rzekł do bietera — muszę tylko znaleźć mój bilet. Szperał po wszystkich kieszeniach, chociaż bilet miał już dawno w ręce. Obejrzał się. — No, nareszcie! — pomyślał. — Idzie już.

Stanął tuż za nim. Kulc wręczył swój bilet do przystępowania i w tym momencie poczuł, że mu ktoś wcisnął do ręki mały pakietek. Zamknął go w garści, odebrał przedziurkowany bilet, podniósł walizkę do góry i przy tym ruchu opuścił laskę, podniósł ją i nareszcie wyszedł z przejścia.

Pan Kärsten, który szedł za nim, z trudem stłumił mefistofelowski uśmieszek.

Na peronie Nr. 4 roilo się od ludzi.

Kulc, starając się nie zwracać niczyjej uwagi, odemknął walizkę, chowając w niej, potajemnie mu wręczony, pakietek. Pakietek był wprawdzie bardzo lekki, niemniej walizka od tej pory poczęła mu dziwnie ciężać. Kulc począł iść wzdłuż stojącego na peronie pociągu, szukając wagonów trzeciej klasy.

— Hallo! — zawołał Kulc z ulgą. — Już się bałem, że pan zaspiał. Jakież się pana „katzenjammer” miewa?

Storm, który jeszcze nie stracił zielonych „kolorków” na twarzy, kiwnął głową, co miało oznaczać: „jako tako”. Poczem zaczął dziękować mu za ostawienie go po wczorajszym wieczorze do Pensjonatu Curtius. — Dopiero się dziś rano o tem dowiedziałem — dodał.

— Nic nieszkodzi, mój drogi.

— Gospodarzy wcale w mieszkaniu nie było podobno?

— Zgadza się. Tylko jeden stary pan w czarnych okularach.

— Nie znam go. Co to za jeden?

— Powiedział, że dopiero jeden dzień tam mieszka.

— Ach to dlatego nie miałem okazji go poznać.

Kulc zatrzymał się przed jednym z przedziałów trzeciej klasy.

— Tu jest miejsce — rzekł.

Ale pan Storm nie chciał się tam zainstalować. — Nie cierpię

starych bab — mruknął. — Myślał o siwej pani, która wyglądała przez okno. — Stare baby przynoszą mi pecha!

Poszli dalej. Nagle Storm zatrzymał się, spojrzal w górę do jakiegoś pana, który przez okno spoglądał i zapytał: — Przepraszam pana, czy w pańskim przedziale byłoby miejsce dla dwóch osób?

Nieznamy, który przypominał tenora w statecznym wieku i który posiadał duży, czerwony nos, spojrzal w głąb przedziału, poczem wysunął głowę przez okno i rzekł: — Może się jakoś pomieścimy.

Storm wsiadł pierwszy, obrócił się w stronę swojego towarzysza i zabrał mu jego walizkę.

— Ostrożnie! — mruknął Kulc przerażony. — Poczem wszedł, stękając, za nim.

Pan z czerwonym nosem pomógł mu ułożyć walizkę na siatce. Wogóle, już na pierwszy rzut oka można było zmiarkować, że sami uprzejmi dżentelmeni znajdowali się w tym przedziale.

I dziwnym zbiegiem okoliczności — sami mężczyźni.

Skupili się dobrowolnie, robiąc wolne miejsca i uprzejmie do nich zagadując.

Storm zapytał się pana z czerwonym nosem: — czy również jedzie do Berlina?

— Nie — tylko do Warnemünde — odparł grzecznie. Moja żona pojechała tam z dziećmi dla odpoczynku.

— Kochane małenstwa — powiedział inny towarzysz podróży, który siedział w kącie i od czasu do czasu jakgdyby kichał. Wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem, więc zmieszał się i zasłonił gazetą.

— Być może, iż zatrzymam się kilka dni w Warnemünde — rzekł podróżny, który posiadał czerwony nos. — Chociaż ważne interesy wzywają mnie do Berlina.

(C. d. n.)

REDAKCJA: Warszawa, Al. Jerozolimskie 121. Telefony, 666-68 (sekretariat), 666-69 (ogólny). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 11—12.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Jerozolimskie 121. Telefony: Zarząd 691-64, Prenumerata 691-66, Księgowność i Kasa 220-30. Dział Ogłoszeń Zgoda 1, tel. 691-56, Kantor — Zgoda 1, tel. 230-00. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — ABC Warszawa, Konto P.K.O. Nr. 15-798.

PRZEDSIĄWZIELSTWA: Piotrków Trybunalski, Słowackiego 8, tel. 59, Włocławek, Cyganki 24, tel. 136.

PRENUMERATA: miejscowa (z odnoszeniem do domu) i na prowincji zł. 2.30 miesięcznie; wydanie B wraz z dziennikiem Sienkiewicza zł. 3.30 miesięcznie.

Ceny ogłoszeń: za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalaty (na wszystkich stronach po 6 szpalat): na 1-iej stronie — 1 zł, w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty i wyjaśnienia — 1.50 zł., opisy specjalne — 3 zł., leżarskie — 30 gr. Nekrologia po 2 gr. Urobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy, a duży druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznaczają się cyfrą (N.), a komunikaty i wyjaśnienia cyfrą (K.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada. Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6